



JOANNA HACZ

Chabrowe sny
o wiosnie



Joanna Hacz

CHABROWE

SNY O WIOSNIE

© Copyright by Joanna Hacz & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN 978-83-63080-29-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2011

„Nadzieja umiera ostatnia...”

Halina Birenbaum

*Rodzicom, najważniejszym ludziom
w moim życiu...*

Joanna Hacz

Literatury pięknej z tego nie będzie...

*A wszelkie osoby i wydarzenia opisane w tej
książce są całkowicie fikcyjne, natomiast ich
zbieżność z rzeczywistością jest oczywiście
przypadkowa.*

Znowu lało! Świetnie! Po prostu rewelacyjnie! Krople deszczu spływały mi po krótkich, niedawno obciętych i przefarbowanych na bordowo włosach wprost za kołnierz skórzanego, wiosennego płaszczyka. Byłam bezgranicznie wręcz wściekła. Skórzany płaszczyk w kolorze ciemnej wiśni, sięgający zaledwie do kolan, pętał się bezradnie pomiędzy moimi nogami, przepuszczał okazałym dekoltem chłód nocy i szeleścił od czasu do czasu irytująco zgrzytliwie. Miałam pod nim wyłącznie obcisłą, niebieską, przerażająco krótką sukienkę na krótki rękaw, nogi opinały mi czarne, siatkowane rajstopy, a wysokie obcasy wiosennych sandałów utykały w każdej, mijanej po drodze dziurze.

Przeklinając samą siebie i złorzecząc wszystkim mężczyznom świata, wracałam właśnie dziarskim, energicznym krokiem z ciekawie zapowiadającej się randki do domu. Krzysztofa, właściciela sklepów „Pierwiosnek”, poznałam zaledwie dwa dni temu, urządzając mu dość okazałą awanturę na samym środku ulicy, na której to omal mnie nie przejechał. Pisałam akurat artykuł na temat wypadków samochodowych, byłam dziennikarką, targnęła mną pasja i już przepadło. Urzeczony kierowca, któremu wygrażałam ręką, stojąc tuż przed maską jego luksusowego samochodu, przeczekał wszystkie moje metafory, epitety oraz porównania, ze stoickim spokojem zjechał na pobocze jezdni, po czym, ignorując całkowicie moją wściekłość, zaprosił mnie po prostu na kolację. Zgodziłam się. Jak ostatnia idiotka zrezygnowałam ze swoich słuszných pretensji, wjechał przecież na mnie na pasach, po czym, tracąc już zapewne resztki posiadanego rozsądku, ubrałam na siebie coś, od czego zaparło mu dech w piersiach...

Na kolacji bawiłam się nawet dość dobrze. Niestety. Zaraz po wyjściu z restauracji mój towarzysz potraktował mnie wprost proporcjonalnie do niezbyt fortunnie dobranego do okazji stroju. Usłyszał kolejną porcję nad wyraz wyszukanych środków poetyckich, poznał siłę mojego poczucia god-

ności oraz został porzucony z niezwykle głupim wyrazem twarzy w swoim samochodzie, na restauracyjnym parkingu.

Istna orgia szczęścia – myślałam z mściwą ironią. Lepiej już być nie mogło. Na własną głupotę nie mogłam nic przecież poradzić. Znajdowałam się właśnie w początkowej fazie dziesięciokilometrowej trasy pomiędzy restauracją a miastem. Wokół mnie liczne krzaki i pola, gdzieś migoczące w oddali światła wiejskich domów, głucha, ciemna noc, ulewa i wiatr i absolutnie żadnych innych perspektyw oprócz tej, że zmuszona byłam dotrzeć do swojego domu w samym centrum miasta na własnych nogach. Skruszone przeprosiny oraz liczne argumenty co do podwiezienia mnie chociażby do obrzeży miejscowości całkowicie zignorowałam. Wolałam już raczej umrzeć gdzieś w drodze powrotnej z wycieńczenia i z zimna niż uzależnić swoją wygodę od łaski człowieka, który usiłował właśnie zdeptać moje poczucie godności.

Kwiecień tego roku był bardzo ciepły, temperatura nocna jednakże z dość oczywistych względów opadała nad wyraz nisko. Usiłując więc nie zamarznąć z zimna, gnana dodatkowo siłą zrozumiałych emocji, na przemian raz szybko szłam, raz biegłam. Przebyłam w ten sposób mniej więcej około ośmiu kilometrów. W oddali widziałam już światła swojego rodzinnego miasta, u ramion urosły mi skrzydła... Niestety. Znienacka, całkowicie wręcz nieoczekiwanie zatrzymał się tuż obok mnie, zagradzając mi jednocześnie dalszą drogę do domu, jakiś nieznany samochód.

– Niech pani wsiada! Podrzucę panią! – zawołał zapraszająco młody, nieznajomy mężczyzna.

Akurat! – pomyślałam sobie gdzieś w głębi duszy, usiłując jednocześnie wyminąć niepożądaną przeszkodę.

– Dziękuję bardzo! Poradzę sobie! Mieszkam tu niedaleko!

– Ależ proszę wsiadać! Przemoknie pani do reszty!

– Deszcz mi nie szkodzi! Przemokłam około godziny temu!

– Niech pani, do cholery jasnej, wsiada! – krzyknął podirytowany facet, widząc bardzo wyraźnie, że wymijam go wielkim łukiem.

Zignorowałam go. Przyspieszając dość znacznie kroku, usiłowałam jednocześnie rozpoznać swoje własne uczucia. Nie wiedziałam bowiem, czy bardziej jestem tą sytuacją przerażona, czy podirytowana.

Mężczyzna nie zrezygnował. Podjechał kawałek w ślad za mną, wyminął mnie nader zręcznie, a następnie, po raz kolejny zagradzając mi drogę, wysiadł z samochodu i usiłował mnie wciągnąć do środka. Obezwładniony moją bezgraniczną wściekłością zrezygnował z przewożenia ofiary w jakieś zaciszne oraz odludne miejsce i usiłując dokonać zbrodni na miejscu, podarł mi całe moje siatkowane rajstopy oraz rozerwał dolny szewek sukienki. O dziwo! Odraza i niechęć do mężczyzn, jaką wywołał niechcący jego niefortunny poprzednik, a także dorównująca sile trąby powietrznej ślepa, miotająca mną furia, którą spowodował fakt, że jakiś brutalny zboczeniec ośmielił się na mnie napaść wkrótce po tym, co do tej pory już przeszłam, wywołały w mojej psychice stan, dzięki któremu nic ani nikt nie był mnie w stanie powstrzymać od dotarcia bez przeszkód do domu. Brutalnie potraktowanego mężczyznę, całego i zdrowego, aczkolwiek nie bardzo potrafiącego w ciągu najbliższych kilku minut poruszać nogami i tułowiem, przytrzaśniętego w skutek silnej irytacji drzwiami, pozostawiłam w pozycji klęczącej, z tułowiem opartym o tylne siedzenie samochodu, na poboczu ulicy.

Mokra, brudna, w podartej odzieży, z tuszem do rzęs rozmazanym po całej mojej twarzy usiłowałam dotrzeć czym prędzej do domu. Tej nocy skazana byłam najwidoczniej na całą gamę nader nieprzyjemnych atrakcji. Dobrnęłam właśnie do obrzeży miasta i z wytchnieniem ulgi na ustach, krocząc energicznym krokiem wąską, opustoszałą uliczką, usiłowałam przedrzeć się w miarę niepostrzeżenie do położonej w centrum „metropolii” ulicy, kiedy nagle, nad wyraz niespodziewanie, gdzieś w oddali ujrzałam z przerażeniem światła podążającego w ślad za mną samochodu. Pomyślałam sobie z niechęcią, że jest to zapewne ów pozostawiony na pastwę bezlitosnego losu zboczeniec i usiłując nie wchodzić mu więcej w drogę, weszłam czym prędzej pomiędzy rosnące nieopodal nowo otwartej kawiarni krzaki.

O dziwo! Ciemny, prawdopodobnie czarny mercedes, o dokładnie zachlapanych numerach rejestracyjnych nie był wcale tym, przed którym tak usilnie uciekałam. Wręcz przeciwnie! W porównaniu z moimi późniejszymi przeżyciami lęk przed mało groźnym zboczeńcem wydał mi się wyjątkowo dziecinny. Tajemniczy, ciemny samochód zaparkował nieśpiesznie vis á vis mnie, po drugiej stronie ulicy, wysiadło z niego dwóch, opatulonych od stóp do głów w ramach ochrony przed deszczem mężczyzn i ruszyło w kierunku nowo otwartej kawiarni. Nie potrafiłam zwrócić uwagi na ich wygląd, z naprzeciwka bowiem, niczym grecki bóg wojny, nadchodził właśnie piękny, młody elegant, ładząco podobny do znanego powszechnie aktora – Antonio Banderasa, a ja nie byłam w stanie oderwać od niego oczu.

Sobowtór filmowego amanta, wygwizdując pod nosem jakąś starą, skoczną melodię, skierował swoje kroki wprost do kawiarni, po czym sforsował niewielkie, frontowe drzwi i wszedł różnym krokiem do środka. Tego, co działo się wewnątrz, nie mogłam na szczęście zobaczyć. W środku, w samochodzie siedział ktoś jeszcze, tak więc uznałam po krótkim namyśle, że najrozsądniej będzie, jeżeli po prostu poczekam. Modliłam się tylko w duchu, żeby mężczyźni nie utknęli w kawiarni na zbyt długo. I rzeczywiście. Już po kilku minutach wyszli stamtąd sami, bez Antonia, wsiedli do samochodu i przy gromkich rykach załączonego wewnątrz alarmu, odjechali w kierunku centrum miasta.

Nie potrafiąc uczynić najmniejszego nawet ruchu, doczekałam się w tych upiornych krzakah nad wyraz szybkiej interwencji policji. Niestety! Moje kolejne usilne modlitwy nie pomogły mi absolutnie w niczym. Już po kilku chwilach bowiem nadgorliwi przedstawiciele prawa odkryli mnie bez większego wysiłku w moim dotychczasowym ukryciu i wywlekli z niego w olbrzymim samozaparciu na sam środek ulicy.

– O, Panie! Za co? – wyjęczałam dramatycznie, nie usiłując nawet zrozumieć, co takiego przybyli na miejsce funkcjonariusze próbowali do mnie powiedzieć. – Ja chciałam tylko wrócić do... domu.

– Pani jest świadkiem – powiedział do mnie jeden z nich, starając się jednocześnie prowadzić delikatnie pod ramię. – Pani pozwoli za mną. Tu niedaleko jest komisariat. Porozmawiamy sobie spokojnie. Proszę do samochodu.

– Ja nie chcę... Litości!... Ja chcę piechotą.

– Proszę się nie wygłupiać. Niech pani wsiada – próbował przemawiać łagodnie.

– Precz z łapami... szczeniaku – zauważyłam, że w najlepszym wypadku mężczyzna jest w moim wieku.

– Proszę nie stawiać oporu. Porozmawiamy tylko przez chwilę. Potem będzie sobie pani mogła wrócić spokojnie do domu.

– Może ona jest w szoku – podsunął młodzieńcowi starszy rangą i wiekiem kolega. – Może jej trzeba lekarza?

– Wszystko, tylko nie lekarza! – zaoponowałam stanowczo, wsiadając dobrowolnie do radiowozu. – Nie jestem w żadnym szoku. Gdzie mój adwokat? – zapytałam w roztargnieniu, dzięki czemu zaczęłam wywierać na nich bardzo niekorzystne wrażenie.

– Nie potrzebuje pani żadnego adwokata – wyjaśnił bez przekonania młodzieniec. – Potrzebowałaby go pani wyłącznie w przypadku, gdyby to pani strzelała. Ale to chyba nie pani, prawda?

– Oszalał pan? Ja?! I dlaczego miałabym strzelać? Ktoś tutaj strzelał?!

Młodzieniec zignorował moje dociekliwe pytania i w zamian za to odpowiedział wymijająco:

– Sama pani widzi. Adwokat nie będzie nam do niczego potrzebny...

– A co pan tak ciągle tym adwokatem?...

– Przecież to pani zaczęła...

– I bardzo dobrze. Ale pan nie musi kontynuować.

– No, dobrze. Rozejm. Opowie nam pani wszystko, co pani widziała, a potem będzie pani mogła sobie spokojnie odejść.

– Odejść? – perspektywa kolejnych spacerów przyprawiła mnie nieomal o słabość w kolanach. – Miejcie choć trochę litości! Bardzo was proszę... Ja nie chcę już więcej chodzić.

– Bardzo słusznie. Nie musi pani chodzić. Odwieziemy panią.

– Odwieziecie mnie? Dokąd?

– Do domu.

– Świetnie. Bardzo się cieszę... Ale będzie z tym lekki problem. Ja zupełnie nie pamiętam, gdzie w chwili obecnej mieszkam – oznajmiłam im z nagłą, przejmującą rozpaczą, mając na myśli katastrofalną nazwę ulicy, o której, odkąd tylko miesiąc temu zamieszkałam w wynajętym M-3, regularnie zapominałam.

Mężczyźni popatrzyli na siebie ze zrozumieniem w oczach, zastanawiając się jednocześnie nad tym, czy jest sens wydobywania zeznań od osoby nie w pełni sprawnej psychicznie. Po krótkiej chwili wahania doszli wreszcie do wniosku, że powinni wezwać na posterunek policji osobę, która miałaby w takich przypadkach odrobinę rozleglejsze doświadczenie od nich.

– To jak? Dzwonić do Freddiego? – zapytał tuż po dotarciu na miejsce młodzieniec.

– Dzwon! Niech ona tutaj posiedzi, a my poczekamy na niego na zewnątrz – przytaknął mu, sadzając mnie jednocześnie zdecydowanym ruchem ręki na jednym z biurowych krzeseł starszy z policjantów.

Nie byłam zbyt dobrym materiałem do ufnego pozostawiania mnie w samotności. Pech chciał, że akurat w tej właśnie chwili zauważyłam z przerażeniem w oczach charakterystyczny brak na swojej prawej dłoni pierścionkowego różańca. Zapewne pozbyłam się go nieumyślnie podczas owych żarliwych modlitw w krzakach. Był trochę luźny, a ja za bardzo przejęta i oszołomiona tym wszystkim, żeby zwrócić na niego uwagę wcześniej. Pierścionkowy różaniec stanowił dla mnie bardzo cenną, poświęconą w Częstochowie pamiątkę, miałam go od ponad dwóch lat i czułam się bez niego jak bez ręki. Nie myśląc więc o absolutnie niczym innym niż uwierająca mnie w serce zguba, wyszłam sobie jakimś dziwnym zrządzeniem losu całkowicie niezau-

ważona przez faceta w dyżurce na ulicę, po czym, w odruchu zdecydowania, powróciłam dość szybkim krokiem w miejsce, z którego mnie właśnie przywieziono i z uporem przerastającym osła przeszukałam w bardzo skuteczny sposób wszystkie rosnące w pobliżu kawiarni krzaki.

Po kilkunastu minutach dwaj, rozmawiający ze mną wcześniej policjanci sprowadzili wreszcie do komisariatu potrzebnego im do porozumienia się ze mną kolegę. Nakreślili mu w skrócie zaistniałe tej nocy zdarzenia, zaprowadzili go z niepewnymi minami do pokoju, w którym miałam za nimi czekać i... Piekło, jakie spowodowałam swoim niespodziewanym zniknięciem, przerosło swoimi rozmiarami nawet fale tsunami. Kiedy więc ponownym, dziwnym zrządzeniem losu powróciłam niezauważalnie w ramach obywatelskiego obowiązku do porzuconego na pastwę losu posterunku, osiągało właśnie swój punkt kulminacyjny.

– Proszę pana, zginął wam ktoś? – zapytałam domyślnie na widok znajomego już teraz policjanta. Wszystko wokół wskazywało bowiem na to, że w panicznym bezładzie, jaki z chwili na chwilę się powiększał, usiłowali odnaleźć jakąś ważną, z niezrozumiałych przyczyn zagubioną przez nich osobę.

– Owszem! Świadek... – odparł odruchowo funkcjonariusz, którego zaledwie niecałą godzinę wcześniej nazwałam niefortunnie szczeniakiem. – Ale... Przecież... Przecież to właśnie pani!

– Owszem! To ja! – przytaknęłam, niczego jeszcze nie rozumiejąc.

– Gdzie do ciężkiej...? O, przepraszam!... Ja nie... Zresztą! Niech pani nigdzie stąd nie odchodzi. Ja zaraz wrócę... O, rany... Nie! Nie! – uzmysłowił sobie, że powtarza swój stary, mający niepożądane skutki błąd. – Niech pani nie czeka. Pani pójdzie ze mną... Chłopacy! Jest nasza zguba!... – zawołał radosnym, donośnym głosem, po czym złapał mnie delikatnie pod ramię. – Proszę iść przodem. Jeszcze znowu mi gdzieś pani przepadnie. Tak, tak! Znalazła się!...

Patrzyłam na całe to burzliwie opadające napięcie z ogromnym zaintrygowaniem. Od zawsze uwielbiałam zamieszanie i dezorientację, a moja ko-

chająca przygody dusza śpiewała niemalże peany dziękczynne każdemu, kto potrafił je umiejętnie wywołać.

– I co? Jest psychiatra? – zapytałam z niemalym zainteresowaniem, kiedy zaprowadzili mnie już do pokoju, w którym czekałam na nich poprzednio. Spokój oraz poczucie humoru wracały powoli na swoje dawne miejsce.

– Niech pani powie lepiej, gdzie pani w ogóle była – zaproponował młodzieniec, nie siląc się nawet na udzielenie mi jakiegokolwiek odpowiedzi.

– W krzakach – odparłam wobec tego bardzo zwięźle oraz rzeczowo.

– Czy mogłaby pani wyrażać się nieco precyzyjniej?

– Ależ proszę bardzo... – ucieszyłam się niewymownie. – Zobaczyłam, że zginął mi różaniec... O! Ten... I poleciałam go szukać w krzakach. Nikogo nigdzie nie było, panowie sobie poszli... Niech pan tak na mnie nie patrzy. Przecież wróciłam. Cała, zdrowa i na dodatek ze zgubą... Wyszłam wyłącznie odruchowo.

– I równie odruchowo pani wróciła? – Funkcjonariusz policji poczuł, że mój tok myślenia ma na niego nieodwracalny, bardzo zgubny wpływ. Zaczął się nawet zastanawiać, czy główny przepływ mojej niecodziennej logiki ma swoje podłoże w głupocie, beztrosce, szoku, czy też całkowitym rozkojarzeniu...

– Nie. Nie odruchowo. Wróciłam w poczuciu obywatelskiego obowiązku... W końcu! Podobno byłam waszym świadkiem, prawda?... A tak poza tym, to muszę przyznać, że zupełnie nie wierzę, że pozwolilibyście mi odejść w całkowicie świętym spokoju. Wyrwiecie ze mnie to nieszczęsne zeznanie nawet razem z wątrobą.

– Bardzo słusznie pani nie wierzy – poparł mnie zamasyście, odrobinę jakby podirytowany.

– A z tym psychiatrą, to co? – powróciłam do głównego tematu. Nie wiadomo bowiem dlaczego, ale odniosłam wrażenie, że wzięli mnie za wariatkę.

Przedstawiciel prawa popatrzył na mnie z dezorientacją, westchnął głęboko, po czym odparł w ramach kapitulacji.

– To nie jest psychiatra – pokiwał filozoficznie głową. – To po prostu funkcjonariusz, który zajmie się sprawą. Ja spiszę protokół, a pani z nim porozmawia.

– A dlaczego akurat z nim? Z panem nie mogę?

– Przepraszam... Czy pani to sprawia jakąkolwiek różnicę?

– Cóż... Niby nie... Ale do pana jestem już przyzwyczajona – wyznałam w przypływie szczerości, spojrzałam na wchodzącego właśnie mężczyznę i trafił mnie grom jaśnisty. – Winicjusz?... Jak się masz, Wińciu? Kopę lat! Nie widziałam cię już od wakacji.

Winicjusz, czyli w rzeczywistości Mirosław Witrażewski, był wysokim, dobrze zbudowanym i tak przystojnym mężczyzną, że kiedy niecałe pięć lat temu ujrzałam go po raz pierwszy na oczy, od razu skojarzyłam go sobie z równie pięknym, czarnookim brunetem, jakim był bohater czytanej wówczas powieści „Quo vadis” – Marek Winicjusz. Trzydziestojednoletni już teraz mężczyzna od samego początku naszej znajomości pałał do mnie nieuzasadnioną i nieskrywaną taktownie antypatią, co dla odmiany w mojej duszy wywoływało pobłażliwe, złośliwe pokłady ironii. Wprawdzie zawarliśmy w minione wakacje pewien rodzaj niepisanego rozejmu, jednakże było to porozumienie nie mające dalekiej przyszłości.

– Rany...!!! To znowu TY...!!! – jęknął rozpaczliwie, bynajmniej niezachwycony Winicjusz, siadając z niechęcią przy biurku. – Mogłem się tego domyślić. Dla nikogo innego nie ściągaliby mnie tutaj w środku nocy.

– Freddie, znacie się? – zapytał nieśmiało kolega.

– Freddie? – podchwyciłam od razu, spoglądając znacząco na nowo nabytą, szpecącą dość pokaźnie prawie całą lewą połowę jego twarzy, nieregularną i grubą bliznę, która przebiegała od jednego z kącików jego oka aż do brody, zahaczając po drodze o usta. – Aaaaa... Freddie Kruger! „Koszmar z ulicy Wiązów”! – skojarzyłam z radością. – I co? Pewnie straciłeś co nieco na dotychczasowej pewności siebie? Idealnie sięgnął bruku.

– A ty co? Zgubiłaś drogę pod latarnię? – Popatrzył z ironią na moje niefortunnie dobrane ubranie.



JOANNA HACZ

Nauczycielka, polonistka i anglistka. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, z kolei angielską na Uniwersytecie Opolskim. Pracuje w gimnazjum.

Kocha swoją pracę i bardzo lubi młodzież, chociaż przyznaje, że od czasu do czasu jest ona wielkim wyzwaniem dla zachowania zdrowego rozsądku.

Prywatnie szczęśliwa żona i matka niespełna trzyletniego łobu-ziaka. Bardzo lubi podróże i jest maniaczką zwiedzania zamków oraz skansenów.